

Łukasz Orbitowski

„I jak wam się podoba?”

Tekst powstał w ramach przygotowań do Forum Przyszłości Kultury 2017 (18–19 listopada w Teatrze Powszechnym w Warszawie). FPK to przestrzeń dialogu i dyskusji na temat perspektyw rozwoju kultury we współczesnej Polsce. Program Forum to spotkania z udziałem ruchów obywatelskich, debaty, spektakle i pokazy oddolnych inicjatyw kulturalnych. Kontekstem dla prac Forum są scenariusze dotyczące przyszłości kultury, napisane przez wybitnych humanistów, a także cykl debat organizowanych w całej Polsce. Więcej informacji na stronie: <http://forumprzyszloscikultury.pl/>

1.

Kiedy miałem piętnaście lat, uważałem, że nie ma lepszego pisarza od Stephena Kinga. Najwspanialszym zespołem był oczywiście Iron Maiden, natomiast z wyborem pierwszego arcydzieła dziesiątej muzy mógłbym mieć pewien kłopot. Zapewne wahałbym się pomiędzy „The Evil Dead” Sama Raimiego a „Koszmarem z ulicy Wiązów”. W każdym razie wybrałbym jakiś krwisty, amerykański horror. Tak wówczas myślałem i nie wstydzę się tego. Szukałem prostych prawd i jeszcze prostszych emocji. Zdarza mi się tęsknić za tamtą czystością serca.

Wczoraj stuknęła mi czterdziestka, a do księgarni trafiła premierowa powieść Stephena Kinga. Ten trzaska je rok w rok i fakt, że każdej jesieni możemy się spodziewać opasłego tomiszcza sygnowanego jego nazwiskiem jest równie pewny jak to, iż w październiku czerwienieją liście. Iron Maiden odbywa kolejne, bombastyczne trasy po całym świecie, grając każdorazowo dla jakiegoś ćwierć miliona ludzi. Kupili sobie boeinga, mają coraz większe sceny, nawet nowe kompozycje są wyraźnie dłuższe od poprzednich i wydaje się, że przeżywają najlepszy okres w swojej karierze. Zarówno „Koszmar z ulicy Wiązów” jak i „The Evil Dead” doczekało się w ostatnich latach remake’ów. Z tego drugiego tytułu wyewoluował serial, jak dotąd – dwa sezony. Całe to uniwersum powstało z myślą o ludziach takich jak ja. Dorosłem. Dojrzałem. Gust mi się odmienił, ale chciałyby, aby Iron Maiden znów przyjechali do Polski.

Kultura w jakimś szczególnym sensie jest jedna, to znaczy każdy ma swoją – tę w której wzrastał, która go ulepiła. Zastanawiam się, kto kogo wybiera. Kultura mnie, czy ja kulturę. Co zdecydowało o tym, że, dawno temu, kupiłem sobie akurat Stephena Kinga?

2.

Znam doniosłość międzypokoleniowego sporu kulturowego. Chodzi o kłótnie z moim własnym ojcem. Niewiele doświadczeń okazało się dla mnie równie kształtujących. Kłóciliśmy się, wymienialiśmy argumenty i darliśmy się na siebie. Pamiętam, jak powiedziałem, że każdy głupi może napisać symfonię, skoro robił to siedmioletni Mozart. Rety, ale się na mnie rozdarł! Tato zresztą miał okropny gust muzyczny: lubił ballady Scorpionsów i solową twórczość Dietera Bohlena z Modern Talking. W innych dziedzinach szło mu lepiej.

Pokazał mi „Brudnego Harry’ego”, „Ojca chrzestnego” i „Commando”. Okropnie lubił filmy sensacyjne. Usiłowałem rozszerzyć jego horyzonty i nawet pożyczyłem mu kasetę z „The Evil Dead”. Powiedział, że nawet kawałek obejrzał. Konkretnie „do tej sceny, kiedy głowy zaczęły latać i wrzeszczeć”. Dzięki niemu poznałem jednak Tomasza Manna, Romaina Gary’ego, Erskine Cadwella, Jaroslava Haška i wielu innych, cudownych autorów. Ojciec nigdy nie przekonał się do Stephena Kinga, ale filmowa adaptacja „Misery”

bardzo przypadła mu do gustu. Lubię myśleć, że ubogaliśmy się nawzajem. On mnie bardziej, niż ja jego. Taka kolej rzeczy.

Spieraliśmy się, kłóciliśmy się, ale łączyła nas zgoda względem pryncypiów. Tato mógł uważać Stephena Kinga za grafomana, sam sądziłem, że Tomasz Mann to straszny nudziarz (kto wie, może obaj mieliśmy rację?), lecz obaj zgodziliśmy się, że książki są ważne, że żadną miarą nie można żyć bez książek. Spór dotyczył tylko tego, jakie to mają być książki. Jakie filmy, jaka muzyka. Łączyło nas przekonanie o istotnej roli nośników kultury. Z jednym tylko wyjątkiem.

3.

Ojciec nigdy nie zaakceptował gier komputerowych i niepokoił się, że poświęcam im tyle czasu. Gdy w domu pojawił się komputer, liczył, że poświęcę się programom graficznym, ewentualnie zacznę coś pisać. Tymczasem ja od rana do nocy cisnąłem w „Golden Axe”, „Cannon Foder”, „Lemmings” i co tam jeszcze było. Ojciec nie mógł tego pojąć i powtarzał wszystkie komunały, jakie tylko istnieją w tym obszarze. Mówił, że gry niczego nie uczą. Nazywał je tępą rozrywką. Bał się, że zniszczę sobie oczy. Wyznał nawet, że nie rozumie tej idiotycznej ambicji: dlaczego chcę dojść do czegośkolwiek na ekranie?

W tamtych czasach gry były zjawiskiem podwójnie niszowym. Interesowali się nimi nieliczni, przeważnie bardzo młodzi (stąd kolejne pytanie ojca: czy nie jesteś na to za duży?), do tego sprzęt był bardzo drogi. Amiga 600, którą mieliśmy w domu, kosztowała kilka pensji. W klasie tylko kilku kolegów posiadało komputery. Później marzyłem o PlayStation. Ojciec nie chciał o tym słyszeć. Jak sądzę, obawiał się, że przez gry przestanę czytać książki, zawałę naukę czy też stracę rozum.

Mój dobroduszny ojciec głęboko się pomylił. Dziś konsolę w domu ma każdy, a gry są normalnym nośnikiem kultury, tak samo ważnym, jak książki, komiksy, czy filmy. Tytuły takie jak „Limbo” poszerzyły moją empatię, przy „Journey” odbyłem niemal mistyczną wyprawę w głąb siebie (dziękuję pięknie za takie wycieczki), a niektóre perły architektoniczne z „Dark souls” i „Bloodborne” mam przed oczyma do dziś. My, dzisiejsi czterdziestolatkwie, grom zawdzięczamy coś jeszcze. Dzięki nim mówimy po angielsku.

4.

Ojciec sprzeciwiał się grom, ponieważ ich nie rozumiał. A nie rozumiał, gdyż nigdy ich nie poznał. Za jego czasów nie było żadnych gier ani komputerów. Telewizor w naszym domu pojawił się gdzieś na początku lat 80. Ojciec raz, owszem, spróbował zagrać, ale poległ przy wymianie dyskietek. Powtórzę: każdy żyje w kulturze, w której wzrastał, która go ulepiła.

Mój syn ma prawie jedenaście lat. Podsuwam mu książki, ale niezbyt pali się do czytania. Za to doskonale wie, czym jest Iron Maiden. Zna zresztą nazwy wielu zespołów i chętnie wykrzykuje co bardziej chwytliwe refreny. Gust filmowy mamy względnie zbieżny, choć Julkowi nie podobali się „Poszukiwacze zaginionej Arki” i „Batman” Tima Burtona. Co za czasy paskudne mamy, pomyślałem, skoro chłopak nie jara się Batmanem?

Właściwym polem naszego kulturowego sporu są gry, a konkretnie „Minecraft”. Julek jest wyrazicielem opinii, jakobyśmy mieli do czynienia z arcydziełem, ja sądzę przeciwnie. Lubię gry, które ładnie wyglądają, są proste, dynamiczne i pełno w nich wrogów do zabicia. „Minecraft” jest natomiast brzydki, niesłychanie

skomplikowany, nudny i w swej najpopularniejszej wersji pozbawiony przeciwników. Spieramy się więc, dokładnie tak jak ja się spierałem z moim własnym ojcem. Nie ma między nami fundamentalnej niezgody. Obaj uważamy, że gry są ważne. Nasze światy są wspólne. Z jednym wyjątkiem.

5.

Julek uwielbia youtuberów. Potrafi oglądać ich przez długie godziny. Nie widziałem, aby czemukolwiek innemu poświęcał aż tyle uwagi. Gdy poznaje jakiegoś innego chłopca, zadaje zawsze to samo pytanie: jaki jest twój ulubiony youtuber? Wybór ulubionego internetowego nawijacza ma więc charakter tożsamościowy, określający. Jeśli lubię Błowka, to jestem taki a nie inny. Skoro bardziej odpowiada mi Pan Śmietanka, to odmienne posiadam przymioty. Pokaż kogo subskrybujesz, a powiem ci kim jesteś.

Przyznaję ze wstydem, że nigdy wcześniej nie słyszałem o youtuberach i zdumiał mnie ogrom ich potęgi. Ci młodzi ludzie (najczęściej bardzo młodzi) organizują sobie zloty na Stadionie Narodowym, mają swoje własne linie odzieżowe, pisma sobie poświęcone, a także zeszyty, kubki, oraz przypuszczalnie, stringi. Ich sieciowa popularność, mierzona w łapkach, odśtonach i subach idzie w miliony, co określa rozmiar mojej klęski. Jako pisarz nigdy nie zdobędę tego rodzaju popularności, nawet gdybym zyskał nakłady Kaśki Bondy i ekranizację od Spielberga. Jestem jednak nikim więcej, jak przedstawicielem ginącego zawodu. Nie mam dostępu do statystyk, ale odnoszę wrażenie, że youtuberzy przebili popularnością aktorów i muzyków. Przyszłość należy do nich.

Mój syn najbardziej na świecie pragnie zostać youtuberem i bardzo się martwi, że nie chcę mu na to pozwolić. Po prostu nie zgadzam się, aby jedenastolatek umieszczał swoje nagrania w sieci. Na to przyjdzie czas, a jeśli Julek nie zmieni zdania, za jakieś pięć lat będę miał w domu małego youtubera, szykującego się na podbój Internetu. Będę musiał mu pomóc w tym szczytnym zamierzeniu. Kupię sprzęt, nauczę kadrowania i podstaw montażu. Trochę się na tym znam. Przecież pracuję w innym konającym medium, w telewizji.

6.

Niechęć mojego ojca względem gier bardzo mnie bolała. Żałowałem, że nie podziela, nie wspiera mojej pasji. W rozmowach z Julkiem staram się zmilczeć moje zdanie o jego idolach, choć czasem język aż pali. Nienawidzę ich mowy, tego pustego terkotu słów, nieśmiesznych żartów i wiecznego wdzięczenia się do publiczności. Przeraża mnie pustka tych figur, dziecięcych bożków nieświadomych znaczenia własnej potęgi. Ze względu na wiek kojarzą mi się z cesarzem Heliogabalem. Mają rząd dusz, w tym duszę mojego syna i jak znam życie nawet nie zastanawiają się nad odpowiedzialnością, jaka się z tym łączy.

Tematem większości nagrań są gry ze wskazaniem na „Minecrafta”. Wszystkie nagrania wydają mi się podobne. Youtuber gra i o tym opowiada. Tylko tyle. Mamy więc do czynienia z jakimś realizowanym na żywo recenzenctwem, ze sztuką komentarza, której zawrotna popularność jest dla mnie niepojęta, także ze względu na własne, młodzieńcze doświadczenie. Gdy byłem dzieckiem, chętnie zachodziłem do bud z automatami albo do kolegi „na komputer”. Najczęściej była nas cała banda i czekałem na swoją kolej, aby zagrać, patrząc, jak inni się bawią. Patrzenie na granie było czymś nieznośnym. Teraz stanowi atrakcję większą od samego grania. Proporcje się odwróciły.

Ci młodzi ludzie, ci Heliogabalowie nic nie wiedzą i niczego nie potrafią (wyjąwszy kwestie techniczne związane z edycją nagrania, znają też podstawy marketingu). Trudno, bym miał do nich o to pretensje. Są nastolatkami. W ich wieku również nic nie wiedziałem i niczego nie potrafiłem. Z żalem przyznaję, że większość z nich jest inteligentna i sympatyczna, kamera wyraźnie ich lubi. Pozbawieni doświadczenia, grają czystą kartą nastoletniości: używają osobistej charyzmy, pławią się w luksusie bycia sobą, skracają dystans do widza.

7.

Na centralną wartość wyrasta autentyzm. Jakkolwiek głupio by to brzmiało, youtuberzy po prostu są sobą. To uśmiechnięte, serdeczne chłopaki z klasy, z podwórka, z klatki obok, które dzielą się swoją pasją do grania. Sprawiają wrażenie, że są tuż obok, że ekran znika, a ja zerkam im przez ramię na ekran komputera. Oczywiście mogę się mylić i mamy do czynienia z bardzo konsekwentną kreacją. Wątpię jednak, aby nastoletni Karol Gązwa usiadł w gronie menedżerów i po długiej naradzie poprzedzonej badaniami rynku powołał do życia Blowka.

Czym jest autentyzm? To wartość ulotna. Nie potrafię przecież z całą pewnością stwierdzić, czy Blowek jest szczery w swoich nagraniach. Przypuszczam, że nawet Blowek tego nie wie (sam mam trudności w stwierdzeniu, kim jestem naprawdę, w jakich okolicznościach zdarza mi się być sobą i co właściwie „bycie sobą” oznacza). Ale autentyzm, jakkolwiek by go ująć, będzie centralną wartością kultury przyszłości. Nie tylko youtuberskiej. Uznajmy więc, że jest konsekwentnym odrzuceniem wszelkiej kreacji samego siebie i wywoływaniem u odbiorcy wrażenia całkowitej szczerości.

Kultura, w której się rozmiłowałem, jest kreatywna. Takiej właśnie poszukiwałem. Potwory z „The Evil Dead” przecież nie istnieją, podobnie jak wampiry z „Miasteczka Salem”. Zespół Iron Maiden śpiewa o duchach, kosmitach, ewentualnie mitologii i postaciach historycznych w rodzaju Aleksandra Wielkiego. Na scenie mają baśniowe dekoracje i gumową maskotkę wielkości kamienicy. Cieszyłem się, gdy wyszło, że herosi szczerego punkowego buntu, grupa Sex Pistols, zostali wymyśleni. Literatura, którą uprawiam, zasadza się na fantazji. Zawodowo kłamię, manipuluję i wyciągam króliki z kapelusza.

8.

Youtuberzy są tylko najbardziej wyrazistym przykładem mody na autentyzm. Pał sześć modę na reportaże i filmy dokumentalne. Najważniejszą książką ostatnich lat jest „Moja walka” Knausgård, obliczone na wiele tomów świadectwo życia człowieka, któremu nigdy się nic nie przydarzyło. Pozostaje wyglądać polskich kontynuatorów. Przypuszczalnie już są, tylko ich przegapiłem.

Niebagatelną rolę w budowaniu nowego kulturowego autentyzmu odgrywa hip-hop, zjawisko, które zaledwie liznąłem. Rozmawiałem jednak z paroma ważnymi polskimi raperami: z Kęką, z Sobotą. Dało to okazję do porównania dzieła z twórcą. Nie znalazłem żadnej różnicy. Momentami odnosiłem wrażenie, że Kękę z Sobotą odpowiadają na pytania fragmentami swoich tekstów, bądź teksty tworzą spontanicznie, na prawach improwizacji. Pozostają zresztą pod wrażeniem umiejętności poetyckich tej dwójki. Kultura hip-hopu, z tego co wiem, stawia na szczerość. Musisz nawijać prosto z mostu i serducha, zawsze na sto procent.

Autentyzm dotyka wszystkich dziedzin kultury z jednym znaczącym wyjątkiem: chodzi o gry komputerowe. Te w dalszym ciągu są kreatywne i baśniowe. Wytłumaczenie tego stanu rzeczy sprawia mi pewną trudność,

niemniej spróbuję. Gry nie mają jednego twórcy i są efektem pracy zespołowej. To samo można powiedzieć o filmach, czy nawet książkach. Reżyser jest jednak figurą bardziej widoczną niż szef zespołu kreatywnego zatrudniony do pracy nad kolejną częścią „Call of Duty”. Ten chowa się za swoim dziełem i taka jest jego rola. Jednocześnie, sama funkcja gier komputerowych zmieniła się od czasów moich kłótni z ojcem. Wówczas były celem samym w sobie, doskonałą zabawą. Dziś wydają się niepełne i czekają na komentarz youtuberów.

9.

Kultura jutra będzie, przynajmniej nominalnie, kulturą autentyczności, za to bez żadnego progu wejścia. W tym świecie każdy od razu może zostać twórcą, bez żadnego uprzedniego przygotowania, doświadczenia, czy kreatywnego namysłu. Sam wymyślałem sobie od podstaw: musiałem dojść do tego, jak będę pisał i o czym, a także zbudować coś, co można nazwać wizerunkiem publicznym. Innymi słowy tworzyłem siebie na użytek publiczności. Podobnie postąpił Stephen King i chłopaki z Iron Maiden.

Gdy piszę książkę, sam proces układania słówek stanowi końcowy etap zbierania materiałów, układania konspektu i wielkiego fantazjowania. Wymyślam fikcję i próbuję nadać jej porządek na podobieństwo widmowego gmachu. W przypadku pisarzy, którzy nadejdą – zapowiadanych przez Knausgård – tego rodzaju wysiłek okaże się zbędny. Ci zdadzą świadectwo ze swojego życia. Nie potrafiłbym w ten sposób i dlatego mój własny zamysł twórczy zawiera w sobie ziarno klęski. Jestem kłamcą, twórcą fikcji i przez to pisarzem nieautentycznym. Kiedyś jednak pisałem własnym życiem i przypuszczam, że moje pierwsze książki odniosłyby dużo większy sukces, gdyby powstały dzisiaj. Wiem coś jeszcze. Każdy dorosły człowiek może napisać dwie powieści. Pierwszą o całym swoim życiu. I drugą, jak został pisarzem.

Warunki brzegowe bycia artystą ulegają obniżeniu. Ograniczeniu uległ aspekt rzemieślniczy. W przypadku literatury skurczył się do elementarnej higieny słowa (odpowiada za nią nie pisarz, lecz redaktor). Jak jest z innymi dziedzinami sztuki – nie wiem, lecz pewno podobnie. Niższe warunki brzegowe oznaczają więcej potencjalnych artystów – w lesie pochyłych drzew stada kózek skaczą. W konsekwencji sukces będzie trudniejszy do osiągnięcia, okaże się też mniej trwały, liczba pogruchotanych marzeń wyraźnie wzrośnie.

10.

Nie umiem wyobrazić sobie tej nowej hipotetycznej kultury autentyczności, choć przecież walnęła mnie w nos. Z drugiego pokoju dochodzi klekot youtuberów. Nie wiem, jaka będzie ta nowa muzyka, nowe filmy, o powieściach mam mgliste wyobrażenie. Jeśli uznamy youtuberów za twórców kultury (nie mam co do tego wątpliwości), przesuwa się nawet czas debiutu. Kiedyś cezura był, lekko licząc, dwudziesty rok życia. Filmowcy kręcili swoje pierwsze etiudy, poeci wydawali debiutanckie tomiki, pisarze drukowali pojedyncze opowiadania, zastanawiając się, co przyniesie im życie. Youtuberzy, tacy jak Blawek, odnieśli sukces jako dzieci, a w dwudziesty rok życia wchodzić jako ludzie spełnieni. Wiedzą, co robią, potrafią kręcić biznes i mają, co tu kryć, wiedzę techniczną w zakresie montażu, kadrowania udźwiękowienia. Są profesjonalistami w swojej dziedzinie. Przed każdym, lekko licząc pół wieku aktywności zawodowej. Ja stałem się zawodowcem po trzydziestce. Ci gadatliwi młodzieńcy na starcie są dekadę do przodu.

Czy autentyczność w sztuce jest wartością? Nie sądzę. Istnieje jakieś dziwaczne kryterium prawdy, szczerości, ponoć wyczuwalne w dziełach sztuki. Ze swojego doświadczenia powiem, że odbierając moją

twórczość, czytelnicy dostrzegali autentyczność tam, gdzie jej nie było, i odwrotnie. Nieliczne, przelane wprost z życia fragmenty odbierano jako wydumane, źle przystające do całości. Co nas obchodzi geneza powstania Sex Pistols? „Never mind the bollocks...” to wspaniała płyta. Nie interesują mnie emocje targające Murnauem podczas kręcenia „Nosferatu” i wcale nie muszę wiedzieć, czy pisząc „Drogę”, Cormac McCarthy zainspirował się własnym, późnym ojcostwem. W fikcji czuję się na tyle komfortowo, że niestraszna mi kultura autentyczności. Tak, jestem w członie rakiety przeznaczonym do odłączenia.

Co sprawia, że jestem autentyczny? W jaki sposób mogę się autentycznie ujawniać w społeczeństwie? Czy odrobina fałszu dyskredytuje mnie całkowicie, czy może tylko osłabia moją autentyczność? Martwi mnie zjawisko, które niewątpliwie nastąpi. Mowa o dyktaturze autentyczności. W końcu trzeba jakoś ją, tę autentyczność, weryfikować. Kryteria są niejasne i zależne od doświadczenia wewnętrznego danego delikwenta. Po prostu, człowieka autentycznego od dobrego aktora dość trudno odróżnić, zwłaszcza, że aktor nie zawsze wie, że jest aktorem. Zapewne dojdzie do wielu burzliwych dyskusji, kłótni i podziałów na wzór konfliktów targających sceną hip-hopową. Brak jasnych kryteriów oceny wywoła chaos i permanentną zmianę warty. Niedawna autentyczność zostanie uznana za maskę za sprawą niespójnej wypowiedzi, wątków biograficznych danego delikwenta albo innych drobiazgów. Taki nieszczęśnik osunie się w nicość. Jednocześnie – tak sobie prorokuję – dyktatura autentyczności będzie oznaczała mocną niezgodę na bycie nieautentycznym. Twórcy nieautentyczni doświadczą aksamitnej egzekucji poprzez masowy odwrót subskrybentów. Myślę o świecie, w którym młodzi twórcy zastanawiają się, kim są, zaglądną w głąb siebie i próbują być autentyczni każdego dnia coraz bardziej i zastanawiam się, gdzie zostanie miejsce na sztukę. Aktem sztuki będzie sama autentyczność, czyste gołe życie.

11.

Napisałem to wszystko i zastanawiam się teraz, czy mam rację. Prawdopodobnie nie. Podsuwam pewne tropy, kierunki rozwoju kultury. Zapewne wszystko przebiegnie zupełnie inaczej, a sam pomysł zaproszenia mnie, artysty, do takich rozważań uważam za chybiony. Przecież nie wiem, a gdybym wiedział, nie pisałbym tak długiego eseju, tylko ze wszystkich sił uprawiał tę sztukę przyszłości, by znaleźć się w jej forpoczcie i osiągnąć splendory.

Mam jednak wrażenie, że kultura autentyczności spodobałaby się mojemu ojcu, z którym toczyłem spory o metal i horror. Lubił, gdy ludzie gadają i w ostatnich latach życia dużo słuchał TOK FM. Być może doceniłby youtuberów, zwłaszcza gdyby nawijali o „Bрудnym Harrym”, a nie o żadnym „Minecrafcie”. Zapewne są i tacy. Tato był blisko ziemi i chyba nie rozumiał nadmiaru dziwności w dziełach kultury. Drażnił go hałas, nudziła fantastyka.

Dlaczego piszę o tym wszystkim? Czemu skręcam w wątki biograficzne i odnoszę się do własnych, wątpliwych fascynacji kulturalnych z młodości? Napisałem powyżej, że nie jestem teoretykiem kultury tylko jej praktykiem. Wiele wskazuje, że nadchodzi kult autentyczności, za nim dyktatura autentyczności, najszersze inferno. Co miałem zrobić? Napisałem tekst autentyczny. Z marszu. Bez konspektu, jakbym nagrywał film na swój kanał, tylko po to, by zgasić kamerę, gdy nagranie dobiegnie końca. Pora ją wyłączyć. Właśnie teraz. Już.

Łukasz Orbitowski - pisarz. W 2002 ukończył filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Początkowo specjalizował się głównie w literaturze grozy i fantastycznej, później autor literatury obyczajowej. Laureat

Paszportu „Polityki” i Nagrody Zajdla, nominowany do Nagrody Literackiej „Nike” oraz Nagrody Literackiej Gdynia. Debiutował w 1999 roku tomikiem opowiadań „Złe Wybrzeża”. Jego debiutem w fantastyce było opowiadanie „Diabeł na Jabol Hill”, opublikowane w pierwszym numerze miesięcznika „Science Fiction” (2001). Publikował opowiadania w różnych czasopismach, m.in.: „Nowa Fantastyka”, „Sfera”, „Ubik”. Jego opowiadanie „Władca Deszczu” znalazło się w antologii „PL+50” pod redakcją Jacka Dukaja. Jako recenzent i felietonista współpracował m.in. z „Nową Fantastyką”, „Przekrojem”, „Lampą”, „Mówią Wieki”, „Gazetą Wyborczą”. 12 stycznia 2016 otrzymał Paszport „Polityki” za powieść „Inna dusza”. W marcu 2016 rozpoczął prowadzenie programu „Dezerterzy” na antenie TVP Kultura. W 2016 r. został nominowany do Nagrody Literackiej „Nike” oraz do Nagrody Literackiej Gdynia za powieść „Inna dusza”.